



Rozmieszczenie zwierząt. 2)

Warunki klimatyczne wytworzyły na powierzchni ziemi kilka pasów wybitnie różniących się pod względem bogactwa roślinnego. Z dwóch stron równika ciągnie się przez stary i nowy świat pas lasów zwrotnikowych; na południe i północ od niego pas stepów i pustyni; dalej dwa pasy lasów umiarkowanych, i wreszcie na samej północy i południu pustynie lodowe.

Trzem pasom lesistym odpowiada większa obfitość zwierząt, o ile na to pozwalają wzajemne stosunki zwierzęce.

A więc: ponieważ zwierzęta użytkowują nie całą ilość substancji organicznej, pocho-

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



26. WIEŚ MOŁODAWA NAD DNIESTREM W BESSARABII.

fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

dzącej bądź z roślin, bądź ze zwierząt, musi pomiędzy nimi istnieć pewien stosunek liczbo-



wy. Osobnikom roślinnym musi odpowiadać mniejsza ilość roślinożernych, tym zaś jeszcze mniejsza drapieżników. Dlatego to zwierzęta roślinożerne żyją przeważnie stadami, jak choćby antylopy, lemingi, a drapieżniki pojedynczo lub niewielkimi grupami polują na nie.

Wśród jednych i drugich spotykają się gatunki przywiązane do specjalnych tylko roślin lub zwierząt. Larwy niektórych motyli żywić się mogą liśćmi pewnych tylko roślin, wiele ssaków wyłącznie owadami. Inne natomiast, mniej wybredne, jak karaczany wśród owadów, jak niektóre drapieżniki, w braku zwykłego pokarmu zastępują go innym. Zrozumiałe jest, że tego rodzaju zwierzęta, gdziekolwiek zostaną przeniesione, łatwiej przystosują się i przetrwają, niż wybredne.

Równie wielkie przywileje w zdobywaniu terenów życia, jak zwierzęta wszystkożerne, mają zwierzęta znoszące głód; w strefie gorącej zwierzęta redukujące procesy życiowe przez zasypianie podczas suchej pory roku, kiedy brak pożywienia, w klimacie zaś chłodniejszym—zwierzęta zasypiające na zimę.

Wszystkie wyżej wymienione warunki życia czynią zwierzę zależnym od otoczenia, i dlatego możnaby je nazwać przeszkodami w zajęciu przez jednakowe zwierzęta całej powierzchni ziemi. Gdyby ich nie było, zwierzęta powinnyby się od miejsca powstania rozchodzić w poszukiwaniu pokarmu promienisto we wszystkich kierunkach, dopóki nie napotkałyby przeszkody w postaci mórz, wysokich gór, gęstych lasów, pustyń i t. d.

Jeżeli zaś bardzo podobne albo nawet jednakowe zwierzęta znajdowane są często w miejscowościach bardzo od siebie oddległych lub oddzielonych morzem, jak np. Afryka i Madagaskar, Europa i wyspy Kanaryjskie, Hiszpania i Mandżurya, to musimy przypuścić, że bądź lądy te były dawniej ze sobą połączone, bądź, że zwierzęta zostały w jakikolwiek sposób przeniesione. Decyzja będzie zależała od tego, czy jest możliwość przywędrowania danego zwierzęcia, i jak dalece jest ono odporne na zmianę warunków otoczenia, z którymi się spotkać mogło.

Wędrowka może zachodzić czynnie albo biernie t. j. przez przeniesienie.

Do wędrowki czynnej najlepiej zdają się być uzdolnione ptaki i owady. Niewiele jednak jest wśród nich kosmopolitów, jak sokół wędrowny, rybołów, sowa płomykówka i niektóre z owadów. Dla większości można wyznaczyć stały okrąg występowania. Bardzo rozległy jest on dla mew, czapli, pliszek, skowronków; bardziej ograniczony dla kolibrów, pingwinów. Pewną trudność w zaliczeniu do tego lub innego okręgu zoogeograficznego stanowią ptaki przelotne. Nasze bociany np. żyją u nas i w północnej Afryce; u nas wydają potomstwo, żyjąc od wiosny do jesieni, na zimę zaś odlatują na południe. Odlot tłumaczony jest zwykle brakiem pożywienia. Wobec takiego tłumaczenia niejasne jest, dlaczego odlot następuje wcześniej, niż się ujawni brak pożywienia i dlaczego ptactwo trzyma się stale tych samych szlaków, nie zawsze najbliższych, jak: Korsyka, Sardynia, Tunis, Azja Mniejsza, Cypr, Egipt.

Przyczyn odlotu należy zapewne szukać w przeszłości. Dwa tereny, dziś od siebie oddalone, musiały dawniej wraz z oddzielającymi je lądami tworzyć jedną całość o jednakowych warunkach klimatycznych. W miarę zmiany warunków klimatycznych tereny występowania coraz bardziej od siebie się oddalały i oddzielały morzem, łącząc się tylko mostami lądowymi. Dzisiejsze drogi, które ptactwo instynktownie ciągnie z północy na południe, są właśnie tymi dawnymi mostami lądowymi.

Za ojczyznę ptaka przelotnego uznawane jest miejsce, w którym się urodził i wydaje potomstwo. Zdarza się jednak, że ptak obiera inny teren za stałą siedzibę, co wywołuje zmianę w rozsiedleniu.

Owady, obdarzone zdolnością fruwania, mogą również z łatwością przenosić się z miejsca na miejsce. Główną przeszkodą w zajmowaniu przez nie szerszych przestrzeni stanowi ich wrażliwość na zmianę pożywienia. Ona to przyczynia się do tego, że występowanie niektórych gatunków owadów jest bardzo ograniczone. W zasadzie jednak wywędrowanie owadów fruwających i ich przystosowanie się do otoczenia jest możliwe i dlatego jedynie różnorodność świata owadziego może świadczyć o izolacji dwóch terenów, podobieństwo natomiast nie dowodzi bynajmniej dawnego ich połączenia.



Wędrownica czynna ma miejsce i wśród innych grup zwierzęcych, a więc ssących, płazów, gadów, ryb, stawonogów, robaków—z tą różnicą, że jest ona silnie utrudniona przez przeszkody naturalne, różne dla różnych grup zwierząt. Dla większości ssaków lądowych przeszkodę stanowią morza. wśród nich jednak niektóre dobrze pływające, jak świnię i jelenie przebywają nieraz wplaw po kilkadziesiąt kilometrów. Lasy i stepy, które dla wielu zwierząt są nie do przebycia,—jak stepy dla małp, leniwców, lasy dla wielu kopytkowych—nie przeszkadzają wędrowce tygrysów albo sloni.

Góry, o ile nie wykazują raptownych zmian klimatycznych na przeciwnych zboczach, są raczej łącznikiem a nie przeszkodą. W Kordyljerach np dzięki pionowej różnicy temperatury i wilgotności szopy i jelenie mogą zachodzić daleko z północy na południe.

Gady mniej są zdolne do wędrowek czynnych. Za wyjątkiem niektórych węży i żółwi, pływają źle i dlatego niema ich na wyspach oceanicznych niezbyt starych. Z łatwością zato przebywają pustynie i stepy, gdyż są bardzo odporne na zmianę wilgotności.

(D.C.N)

W. B.



DWIE ŚWITEZIE. ¹⁰⁾



LAS SOSNOWY NAD JEZIOREM

fol. B. Daniejko

Gdy łódź wielce pierwotnej budowy, ciężka, niezgrabna, o dnie płaskim, o „chylach” prawie pionowych, mająca przyrząd na dwa wiosła tylko, została spławiona przed nasze mieszkanie, wsiedliśmy do niej, mając za wiosłarzy *Daniłę* i jednego z synów naszego gospodarza; zabraliśmy ze sobą sznury do mierzenia głębokości, siatkę, sporządzoną na pędce, i siatki od komarów, impro-

wizowaną dragę i inne drobne przyrządy łowcze.

W całej wsi, mającej 400 chat i około 2,000 mieszkańców, posiadają łodzie tylko pop-emeryt i diak; reszta łodzi, których ilość jest bardzo niewielka, należy do dzierżawcy; stąd też trudno przyjezdnym znaleźć łódź do dyspozycji, a następnie trudno na takich łodziach, szczególnie przy silniejszym wietrze, pływać po jeziorze; t. zw. „duszehubek” nie mają tu wcale.

W chwili, gdyśmy odpływali, mieliśmy wiatr północny, który rozkolesał już był wody jeziora;

białe baranki kładły się na wierzchołkach fali, niektóre z nich zalewały naszą łódź; zalewała zwłaszcza, jak zauważył *Daniło*, każda dziesiąta fala. Przy takim stanie pogody nie mogliśmy przystąpić do mierzenia głębokości; płynęliśmy więc tylko, mając za sternika p. *Bolesława*, który zna się osobiście z falami Białego morza i oceanu Lodowatego — wprost na wyspę *Jagięłły* i po



„SWITEZIANKI” I „WODNIKI” NA WYSPIE

fol. B. Danieyko

całogodzinnem usilnem wiosłowaniu przybiliśmy do jej wybrzeży, porosłych gęstem sitowiem; brzegi jej są tak płytkie, że trzeba znać dobrze miejsce, gdzie przybić należy, ażeby móż stanąć suchą nogą na lądzie. Wyspa jest niewielka, przestrzeń lądu mierzona krokami wynosi od strony wsi 350 kroków (175 m.), z przeciwnej strony tylko 210, z boków od strony północno-wschodniej 250 kroków.

Od wyspy na prawo ciągnie się sięgająca daleko w jezioro mierzeja piaszczysta, na której widać kilka stogów siana. Na lewo także mierzeja, porosła krzakami, krótsza od tamtej; obie mierzeje wynurzyć się miały z wody po spuszczeniu jeziora. Powierzchnia wysepki podnosi się stopniowo ku jej środkowi; na najwyższym miejscu wzniesienia znaleźliśmy szczątki jakiegoś muru; cegła jego świadczy jednak, że nie była to budowla starożytna. Obszar gruntu, zajętego przez mur, niewielki; stąd wniosek, że budowla była mała, może kapliczka albo altanka.

Wysepka cała porasta rzadką roślinnością drzewną; pnie drzewne nie są grube, jakkolwiek mogą być stare:—grunt piaszczysty, a nadto podmokły, nie stanowi dobrej gleby dla wzrostu lasu. Gatunki drzew, któreśmy widzieli, są następujące: brzozy, olchy, parę niewielkich jarzębin, rzadkie sosny, parę grusz już zesłych, iwy, czeremchy, łoży, osiny. Trawy nie są obfite; gdyśmy bawili na wyspie, sprzątano tam drugi pokos tegoroczny, oddany w dzierżawę włościaninowi za 25 rb. Cała ilość siana, zebranego tego roku, wynosi na oko nie więcej nad cztery wozy, czyli w przybliżeniu 100 pudów, a więc za prawo koszenia trawy na wyspie płaci dzierżawca po 25 kop. od puda.

Ażeby dać wyobrażenie o fizyognomii wyspy, zdjął p. Bolesław szereg fotografii. Latem, jak powiadają, jest tu na wyspie uroczy i dużo jest na niej drobnego ptactwa. Obecnie było pusto, ani ptaków ani motyli nie widać wcale, nawet szklarzy tu niema.

Bawiliśmy na wyspie do wieczora, czekając aż fala stanie się mniejsza, ażeby móż mierzyć głębokość i zapuścić dragę; tymczasem zbieraliśmy okazy, to krzemieni, obficie rozrzuconych po wybrzeżu, to ślimaków i t. d. Pomiedzy krzemieniami szukaliśmy obrobionych ręką ludzką, wszakże takich, co do których nie byłoby żadnej wątpliwości, że są dziełem człowieka, nie znaleźliśmy. Z pomiedzy drobnych skorupiaków złowiłem parę okazów

kiełży (Gammarus), bardzo podobnych do *Gammarus pulex*. Gdy słońce miało się już ku zachodowi, wsiedliśmy do łodzi i płynęliśmy ku największym głębom, wskazanym przez Danię, który jako najmujący się często do połowu ryb zna jezioro bardzo dobrze. Dopłynawszy do wskazanego miejsca, opuściłem sznur z ciężarem; mierzyliśmy kilkakrotnie w dość dużych odstępach i znaleźliśmy tu w tem miejscu na południo-zachód od wyspy 18 sążni głębokości czyli 30 m.; jest to już sama przez się głębokość znaczna, lecz o połowę mniejsza niż powiadano; w czasie mierzenia głębokości spotkał nas wypadek, jaki się często zdarzać musi przy tak pierwotnej obsadzie wiosel, jaką mają one tutaj; mianowicie pękła pętla drewniana u wiosła, którą się zakłada na kołek, przytwierdzony u burty łodzi.

Gdybym nie miał ze sobą mocnych sznurów, byłibyśmy prawie w niemożności płynięcia inaczej, jak grzebiąc w wodzie stojąco. Taki wypadek trzeba mieć zawsze w pamięci i nie puszczać się w drogę po jeziorze, nie obejrawszy wpród wiosel i kołków na pętle wiosłowe. Naprawiwszy wiosło za pomocą sznuru, próbowałem zarzucać dragę; raz po raz wyciągaliśmy masę potamogetonów czyli wrzeczników olbrzymich (*P. perfoliatus*), lecz w tym chaosie roślinnym nie było ani większych ślimaków, ani też kiełży innych nad wyżej wymieniony gatunek. Powrót do wsi odbył się już o zmroku; czekała tu na nas piękna córka izraelska z pieprznym szczupakiem, który nam smakował wybornie po całodziennym poście.

Po wieczery zebrali się dużo sąsiadów, i wieczór spędziliśmy na pogadance. Kobiety przyniosły ręczniki na sprzedaż, własnej roboty, zdobione



wzorzystym deseniem; cena pierwotna była bardzo przystępna, bo tylko 25 kop. za sztukę. Cenę tę oznaczył pop, sprzedający żydom ofiary niewiast, przynosząc obrazom świętym. Przy rozmowie obserwowaliśmy ubiory ludowe, noszone tutaj powszechnie. Pan Boleśła w obstałował całe ubranie kobiece, które składa się z koszuli, spódnicy i fartucha, własnego wyrobu, pięknie, gustownie zdobione. Na te ubrania wdziewają, gdy zimno, kaftan, albo kupny czerwonego koloru, albo też sukieny własnego tkania i własnej roboty, zwany „sukmeń”; na głowie noszą kobiety zamężne okrywę, zwaną „kiecz a” (kokosznik po rosyjsku), umieszczając ją na tyle głowy. Piękny ten ubiór głowy robi wrażenie turbanu tu-



JEZIORO ŚWITEŻ (z wyspy na północ)

fol. B. Danieyko

reckiego, lekkiego i wdzięcznego, a składa się z drewnianej, dosyć wysokiej obrączki, mającej do 80 milimetrów wysokości; wierzch obrączki pokrywa rodzaj denka koronkowego, własnej, ręcznej, wiązanej roboty; niektóre z tych denek są bardzo piękne, nazywają je czepcem — „czepiec”. Na boki obrączki drewnianej czyli zewnątrz jej zawijają ręcznik deseniowy o wzorach tkanych, przeważnie koloru czerwonego. Zawijanie to jest misternie i estetycznie ułożone, przypomina ułożenie fałdek na turbanie. „Kiecz a”, umieszczona na tyle głowy, nadaje osobie noszącej ją wyraz pewnego rodzaju junactwa i zdobi w wysokim stopniu twarz nawet brzydszą, a już nigdy nie szpeci twarzy pięknej, jak to czynią np. t. zw. „dzieże”, „miednice”, „stodoły”, „papachy” etc., noszone obecnie przez świat modny kobiecy na głowie. Kobiety zamężne obcinają włosy z tyłu głowy, ażeby mózdz wdziąć kiecze. Dziewczęta zaplatają kosy, zawiązują głowę chustką w formie czapczki—czasem, choć rzadko, podwiązują chusteczkę pod brodę; sposób zawiązywania chustki na głowie jest różny w różnych wsiach, blisko nawet od siebie leżących. Chustki i kiecze noszone, jak to opisałem, nie zakrywają oblicza, ani czoła; to ostatnie nie bywa też zakrywane włosami, które, rozdzielone po środku czoła, linią owalną ocieniają u góry oblicze.



BRZEG WISPY (cypel północny)

fol. B. Danieyko

Ubranie kobiece jest bardzo proste, jak to powiedziałem powyżej, składa się bowiem z koszulki (soroczka), długiej 1 metr z kołnierzem odkładanym, 130 mil. szerokości, zawiązywanym zwykle „życzką” czerwoną. Ozdoby koszuli są obfite i gustowne, zwykle czerwonego koloru, najczęściej tkane, kołnierz atoli bywa wyszywany; wzory ozdób bardzo urozmaicone, szerokość szaku na kołnierzu wynosi do 50 milim. Ozdoby naramienników zajmują 140 mm. przestrzeni, szerokość ozdoby całego rękawa wynosi do 100 mm.; brzeg rękawa, obramiony wązkim szlakiem wyszywanym, ma szerokość 1 do 30 mm.; rękawy bywają zawiązywane wstążeczką. Ozdoby rękawów nazywają „peretykami”, są one tkane. Na koszulę wdziewają „spodnycię”, zaś z przodu zawiązują „chwartuch”. Spódnica i fartuch są ułożone w drobne zakładki. Spódnica jest krótka, długość jej wynosi 82 cm., u dołu ma szeroki szlak deseniowy barwy czerwonej, tkaney, szerokość szlaku wynosi średnio 18 cm. Szlak sięga naprzód do miejsca, gdzie fartuch zakrywa spódnicę, to też przód spódnicy jest bez szlaku i z innego materiału uszyty, zwykle nie wzorzysty, jednobarwny. Ponieważ spódnica i fartuch są krótkie i nie zakrywają dolnej części goleni, przeto obwijają je białym t. zw. „zawojem”, obwiązując u góry i dołu czerwoną tasiemką tkaną różnej szerokości.

(DCN) Dr. B. Dybowski.



Dwaj kupcy w Łowiczu. 2)

Z papierów, jakie posiadam po Andrzeju Zawadzkim, przekonuję się, że on był niejako alfą i omegą dla miasta i dla wszystkich, nic przeto dziwnego, że i Józefa Rykaczewską, „dobrą przyjaciółką”, w r. 1802 prosi Zawadzka:—„Moja najdroższa Mamulko, dobrodziejko łaskawa”—ażeby mąż jej, „mający największe znaczenie”, przy współudziale komendanta, który u nich mieszkał, nie pozwolił rozzuchwalonemu żołnierzowi pruskiemu niszczyć organów w kościele oo. bernardynów i zabronił palić książki z ich biblioteki, które kosztowały ogromne pieniądze. Rykaczewska w liście swym nadmienia, że książki mogą być odesłane do jej mieszkania, a klucz po zamknięciu chóru, prosi, ażeby był wręczony ks. Aleksemu Satoryanowi, gwardyanowi. W d. 2 czerwca 1788 r. Andrzej Zawadzki prosi ks. Antoniego de Zdżane Przedwojewskiego, biskupa Bolenensis, scholastyka łeczyckiego, kanonika łowickiego, i ten w kościele kolegiaty łowickiej chrzci mu syna Wincentego Bogumiła, urodzonego w d. 7 kwietnia t. r. Rodzicami chrzestnymi byli: Fabian de Cholewy Cholewski, cześnik i sędzia ziemi sochaczewskiej, i Anna de Rusieckie Goiszewska, chorążyna sochaczewska. Ks. biskupowi asystował ks. Walenty Cyganowski, wikaryusz. W d. 2 kwietnia 1793 r. Zawadzki wyjeżdża do Warszawy, żona go ekwipuje na drogę i wręcza taką notatkę: „Konotacya rzeczy zapakowanych dla Madam: 1 cielę, 1 ćwierć grochu, 1 ćwierć kaszy jaglanej, 12 bochenków chleba, 6 babów (!), 7 placzków. Dla Wojtusia—1 szynka wędzona, 2 kiszki, 1 placek, 1 krajanek sera. Dla jegomości w drogę: 1 ćwiartka cielęciny, 1 kapłon, 1 szynka wieprzowa, 1 szynka cielęca, 5 par ptaszków, masło, 1 baba, 1 placek, 2 bochenki chleba, kawa, śmietanka i cukier, 2 butelki wina węgierskiego, 2—wina francuskiego, 1 butelka wódki, 1 serwetka, 2 pary noży srebrnych, 1 dzbanuszek do kawy, 1 garnuszek do kawy, 1 para filiżanek. Nb. Koszyk na brudy z kłódką dla studentów”.

W d. 16 t. m. i r. Zawadzki pisze do Warszawy: „Synowie moi objaśnili zięcia mego, Sadowskiego, że wynika kwestya o pranie; otóż zawiadamiam, że pranie białizny podług kontraktu zawartego należy do właściciela pensyi”. W dn. 4 maja t. r. Zawadzki przebywa w Poznaniu i pisze: „Kochana Magdusiu moja. Stanąwszy szczęśliwie dnia wczorajszego na miejscu naznaczonym, tak zaraz nie omieszkać donieść o mojem zdrowiu. Donoszę Ci, że zdrow i wesół z łaski Najwyższego Boga, którego tu najmocniej prosiłem w kościele oo. Bernardynów i XX. Franciszkanów jeszcze prosić

będę, aby Cię także z dziećmi przy zdrowiu zakonserwował i przypadku bronił. Dziś jestem proszony na obiad z J. W. Walewskim, Szambelanem do J. W. Starosty Kłódawskiego. Stancye tu bardzo drogie, przecież mamy bardzo wygodną, bo u I. Mci P. Przeździeckiego, brata naszego prezydenta. Plenipotencyi nie przyjęto tak W. Głowackiego, jak i p. regenta, i te uznano za niepotrzebne, jako też i I. P. Lipskiego, bo tu tylko ci są obligowani złożyć swe homagium, którzy mają swoje grunta i dobra dziedziczne... Przytem Panu Bogu, kochana Magdusiu, oddaję Cię wraz z wszystkiemi dziećmi... jestem Twój kochający Mąż.”—Hauke¹⁾, urzędnik, w d. 17 listopada 1794 roku zawiadamia, że w Warszawie spokój zakłócony rewolucją już uregulowany. Niebezpieczeństwa nie było tu tak wielkiego, jak sobie ludzie opowiadali. Suworow od chwili kapitulacyi miasta stara się zaprowadzić porządek. Pan prezydent może dzieci przysłać do Warszawy na dalszą edukację i studia. Na cenzurze, wydrukowanej w języku francuskim, w tymże języku, d. 10 kwietnia 1797 r. Hauke w Warszawie pisze w „Remarques”: porządek — nic do życzenia. Zdrowie—dobre. Obyczaje—dobre. Usposobienie łagodne i pokojowe. A w „Notes” zaznacza: Nic nie mam do zarzucenia w pilności i postępach, zdolności wystarczające, pragnąłbym tylko, ażeby w językach: francuskim, niemieckim się „M. Zabadzki” ćwiczył, a wówczas nabędzie większej wprawy we władaniu tymi językami. Na pensyi tej uczono: religii, moralności, historii powszechnej i szczegółowej, geografii i statystyki, historii naturalnej, mitologii, języków: niemieckiego, francuskiego, łacińskiego i polskiego, stylistyki, pisania: niemieckiego, francuskiego, arytmetyki, geometrii, rysunków, muzyki i tańców, lecz z tych przedmiotów Zawadzkiemu stopni Hauke nie wystawił. W d. 24 maja i 18 czerwca 1797 r. ktoś chory w domu Zawadzkich, albowiem lekarz ze Skierniewic, T. Twardochlebowicz, „pour M. Zawadzki” pisze recepty.

W 1796 r. Zawadzki kupił wójtostwo Borowiny, położone w parafii Bełchowie, i wynajął majstra grabarskiego, Kamińskiego, który karczował rolę i łąki, biorąc od pręta po 8 do 12 gr., a od wykopania sadzawki prętów 32, od pręta po zł. 2. Za zrobienie triftu (wygonu), ułożonego chrustem w cią-

1) Ojciec Maurycego Haukego, generała. O bytności Antoniego Zawadzkiego w pensyonacie Haukego wspomina Józef Paszkowski w pracy: Wspomnienia o niektórych generacjach polskich (rękopis w Bibl. Ordyn. Krasińskich). (P. red.).



gu dni 70, Zawadzki płacąc dziennie po zł. 1 gr. 5, zapłacił zł. 81 gr. 20 i dał ludziom piwa garnicy 70 (po 12 gr. garniec). Regulował ogród włoski, kopał rowy w wielkich błotach i wodach. Do r. 1800 Zawadzki za te roboty razem zapłacił zł. 20.741 gr. 28½. Na wystawienie chałup i stodół do 27 września 1798 r. wydał zł. 21.114 gr. 18. Kupił 242 owiec, płacąc za sztukę po zł. 7 gr. 4, i 4 barany rasy angielskiej (sztuka zł. 8). Ugodził służbę na rok. Owczarz otrzymywał: zadatku zł. 4, zasług zł. 70, buty nowe, żyta miary warszawskiej korcy 8, jęczmienia — 4, pszenicy — 1, owsa — 1, grochu — 1, rzepnicy ćwierć korca, kaszy jaglanej — 2, soli garnicy 6, piwa miarek 1, na okrasę zł. 12 i miał wolność chowania 1 krowy.

Parobek otrzymywał: zadatku zł. 5, zasług zł. 60, buty nowe, podszycie 1, na ich okucie zł. 20, płótno na 1 kitel, koszul 2, gaci 2. Żyta korcy 6, jęczmienia — 2, pszenicy — 1, owsa — 1, grochu — 1, tatarski — 2, kaszy jaglanej 3 ćwierci, rzepaku — 2, soli garnicy 6, sera krajane 15, na piwo zł. 20.

Pastuch otrzymywał: zadatku zł. 4, zasług zł. 50, buty nowe, podszycie 1, na ich okucie zł. 24, koszul nowych 2, gaci płóciennych 2, żyta korcy 6, jęczmienia — 1, pszenicy — 1, owsa — 1, grochu — 1, prosa — 1, tatarski — 1, oleju garnicy — 3, soli — 6, sera krajane 12, śledzi 30.

Podług zwyczajów chłop, na nowej kolonii osadzony, powinien otrzymać 5 morgów roli w jednym polu, we trzech zaś — 15 morgów, a za to obowiązany był robić w ciągu tygodnia 1 dzień sprzężajny i dwa piesze, nadto winien jechać do Warszawy dwa razy, przewożąc za każdym razem żyta korcy 8 lub pszenicy — 7 albo owsa — 10, także ma odrobić w lecie 4 dni, zwane „gwałty”, oprócz 3 dni do oziminy i 3 dni do jarzyny, za które jako wynagrodzenie pobierać będzie dziennie po zł. 1, i 12 dni pieszych, które liczyć się będą po 15 groszy. Z chwilą zamieszkania wieś cała corocznie jako daninę ma dawać: 2 kapłony, 4 kury i pół kopy jaj.

Od r. 1785 posiadał Zawadzki lejarnię świec woskowych za rzeką Bzurą, na tak zwanem „Blechu”, która dostarczała świec do kościołów w Gnieźnie, Łagiewnikach, Łęczycy, Piotrkowie, Skierniewicach i t. d. W r. 1785 Zawadzki podaje „Notę

świata do katafalku J. Ośw. Jegomości Antoniego Ostrowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa Korony polskiej” — za dostarczone z fabryki łowickiej: 344 świec lantrowych funtowych, 50 świec lantrowych funtowych na ołtarze i 60 pochodni, każda po 3 funty mająca, razem 555 funtów na wagę, licząc funt po fl. 3 gr. 6, przypada fl. 1663. W r. 1791, zakończając rachunki roczne, przekonał się Zawadzki, że Franciszek Hiecke, majster blecharski, nadużył jego zaufania, albowiem nie tylko nadebrał pieniędzy, ale i zepsuł mu wosku, razem na kilka tysięcy. Hiecke przyznał się do winy i okazał żal serdeczny, czem tak ulagodził gniew chlebowdawcy, że ten przez wzgląd na blisko 3-letnią służbę, młodość, ubóstwo, pretensje swe zredukował do minimum, pozwolił mu powrócić do Czech, kraju rodzinnego, z warunkiem, że po dobroczeniu się nadeśle zł. 1000 jako wynagrodzenie za straty poczynione. W r. 1795 obliczał się Zawadzki z majstrem Franciszkiem Olszewskim; i ten nadużył jego zaufania, więc pisze: „brak do Complementum (!), wosku co nigdy brakować nie powinno, chyba że ukradła żona (Karolina) jego, co niechaj mnie Pan Bóg zachowa podobnego przypadku i szkody takowej”. Przeprowadził śledztwo i okazało się, że pod drzewem Karolina, „baba”, ukryła 6 kawałków wosku białego, i że garnek z woskiem, przez nią ukradziony, mąż jej odebrał i sprzedał na ulicy Mostowej jednemu z obywateli, przy czem wyszły na wierzch i inne nadużycia. Zawadzki, rozgniewany, pisze w dalszym ciągu: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny i takich złodziejów blecharzów, zachowaj mię, Panie, na wieki wieków, a przynajmniej póki żyć będę.” Wyplacił tym „oczywistym złodziejom, kanaliom”, co się im należało, ze służby oddalił, „a moja szkoda przepadła”, a ponieważ wydał i świadectwo, przeto zapisuje: wierne i prawdziwe zaświadczenie, komu o tem będzie wiedzieć należy, jak p. Franciszek Olszewski, blecharz, będąc u mnie za majstra w Blechu moim woskowym przez lat 5, którego dla przyczyn pewnych niemal jego żony, odprawiony został i takowe zawiadomienie ręką moją własną podpisuję... Więc tym sposobem ukończone zostało. Amen.”

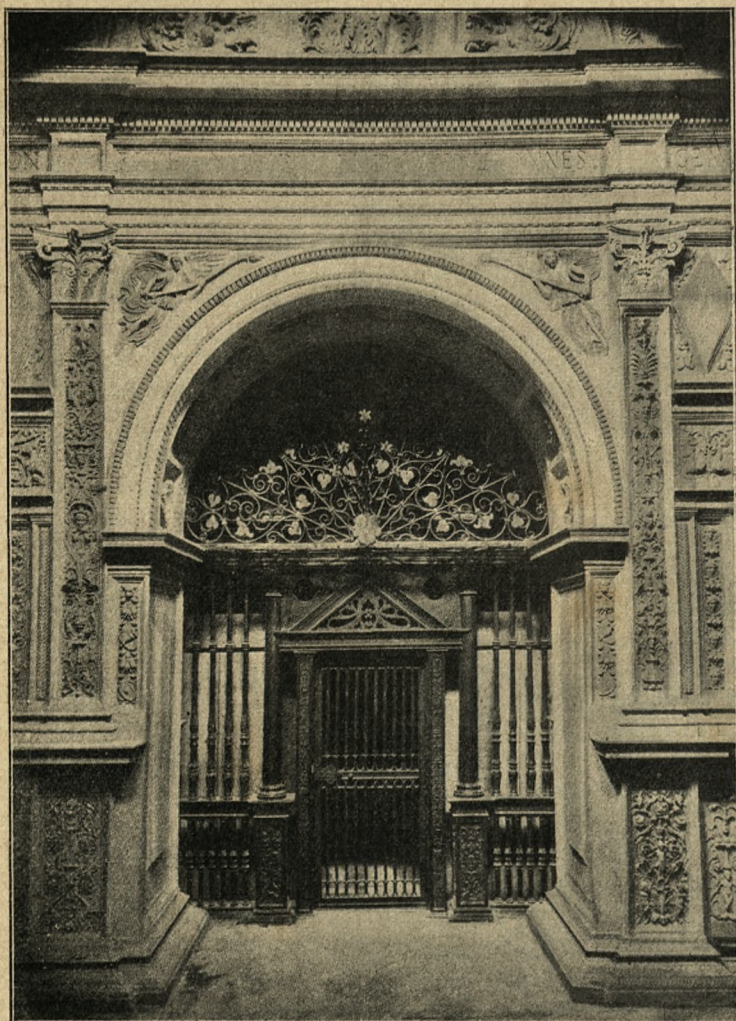
R. O.



O wycieczce do Krakowa słów kilkoro.

Mądry prawodawca wyznaczył po pracy odpoczynek, a człowiek ma swoje święta duszy, o których marzy tygodniami i przez tygodnie je wspomina.

Moim dniem uroczystym jest wyjazd do Krakowa, który wielbię całą duszą: tyle mnie wiąże tam rzeczy, tylu mam bliskich znajomych, drogich, ukochanych, wyśnionych, wymarzonych.



WEJŚCIE DO KAPLICY ZYGMUNTOWSKIEJ, NA WAWELU

Wyjazd do Krakowa to święto i marzenie, dla którego dużo poświęcić można, dużo znieść, nawet olimpijskie zmarszczenie brwi szefa, że biedny urzędnik raz na pięć miesięcy wychodzi z biura o drugiej minut 10, zamiast druga m. 59.

W wagonie bezpośredniej komunikacji nastroj ożywiony: święta w duszach podróżnych. Sąsiadka moja ma śliczne oczy, a dwie szpilki z kapelusza wystają na pół metra w moją stronę. Mówi przy tem rzeczy tak ciepło, aż mi się robi gorąco. Życie i uniesienie tryska z jej słów i z jej oczu, a gdy w Granicy kapitan żandarmeryi zwraca się do niej z pytaniem: „Wasza familia?” sąsiadka uprzejmie odpowiada „Zalieskaja”, dając dowód nie tylko gorącości uczuć, ale także i nadzwyczaj dobrego wychowania.

Na st. Granicy już pierwsze powiewy autonomicznej Galicji: odjęto z naszego wagonu tablicę z napisem: „Z Warszawy do Krakowa przez Granicę”, a założono inną, opiewającą: „v. Warschau

über Granica nach Krakau”; ach jak to miło, że się już zbliża ukochana, stara Zygmuntowska stolica.

Nabyty w Granicy bilet do Krakowa drukowany jest zapewne na Nalewkach, stoi bowiem na nim dosłownie: „pociąg osobowi, od Szczakowa (?) pospieszny”.

W Szczakowej rewizya celna uprzejma, wszystkie 7 paczek, w które zaopatrzyli mnie znajomi dla różnych pań i panów przepuszczono, nakładając jedynie cło na biedne kamasze studenckie.

Przez całą drogę od Granicy do Trzebini niepokój na temat, kto z jadących ma się przesiadać, a są podróżni do Lwowa, Wiednia, Lozanny. Są wśród pań rosyanki, są polki. Otrzymawszy ośmiokrotne zapewnienia od różnych funkcjonaryszy kolejowych co do przesiadań, damy pod Trzebinia wpadały w coraz większy niepokój, a na stacyi wybitnie zaznaczała się różnica temperamentów plemion słowiańskich: podczas gdy rosyanki przeraźliwie krzyczały „nasiillszczyk!”, polki dobitnie i jędrnie komenderowały „tregier!” Wyczekiwania w Trzebini zawsze są nudne. Z nudów więc czytuje się rozkłady jazdy różnych kolei, a wywieszono są tam wiadomości z przeróżnych linii świata. Szuka więc człowiek swojej ko-

lei wiedeńskiej. Ja mam dumę i ambicję warszawsko-wiedeńską. 26 lat jem kawał chleba tej instytucji, lubię ją i życzę jej szczęścia, szacunku i uznania. Aż tu na ścianie wisi biała płachta, drukowana u Noskowskiego, Warecka 15, ale cała po niemiecku! Są więc dane, jako „Warschau-Wiener Eisenbahn Fahr Plan der Personenzüge gültig vom 15/28 October” jest też i „Kalischer breitspurige Strecke” są i „Verbindungs-Züge zwischen den Stationen Łowicz W. W. und Łowicz Kalisz Banhof”. Można dowiedzieć się, kiedy przychodzą pociągi na „Warschau Brester Bhf”, „Warschau Koweler Bhf”. Boże! cóż to za uprzejmość i warszawsko-wiedeńska galanteria; żaden inny naród nie jest tak dobrze wychowany; zawiesiły tam rozkłady te chamy czechy i węgry, ale zupełnie nie pomyślały o tem, aby je tłómaczyć na jez. prof. Bernharda. I stało się, jakby ktoś moją warszawsko-wiedeńską dumę i ambicję „prask w pysk”. Ale tak samo potraktował Sabałową Śmierć Pan Jezus, który wie-



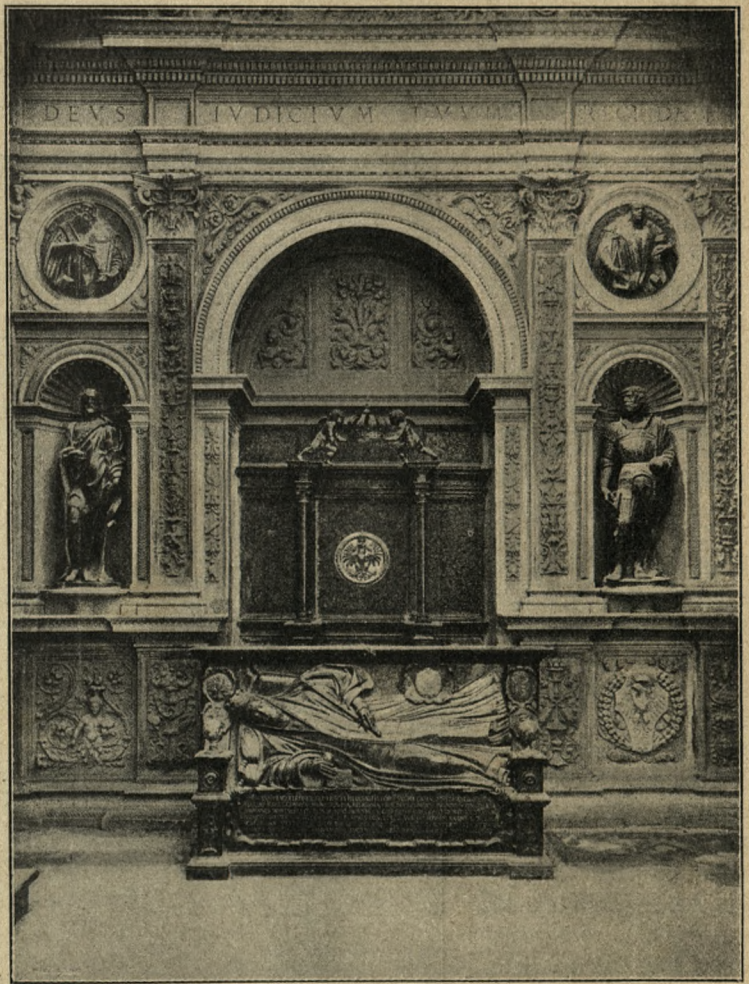
dział o małym „chroboku” w skale na dnie morza. Widocznie więc warszawsko-wiedeńskie władze mają jakiegoś „chroboka”, dla którego Trzebinę i Kraków, a zapewne i resztę linii zaopatrzył w takie rozkłady.

Możeby tylko teraz przy zmianie rozkładu ulepszyć pisownię; jest tam wprawdzie napisane Petrikau i Czenstochau, ale obok całym po polsku Kuluszki, Łowicz, co koniecznie trzeba zmienić na Kuluszki, Lowitsch i Stscheme-schitz. Jeden szczegół trochę mi wyjaśnia ów piękny rozkład, a mianowicie, że wskazuje godziny w „S. Petersburger Zeit”, według którego ani jeden pociąg, ani jeden zegar u nas nie chodzą.

W Krakowie od rana odwiedzanie drogich znajomych, więc najpierw do franciszkanów: goręce świętym ogniem miłości chrześcijańskiej święty Franciszek, spowity w gorące tony płomiennej purpury, a z drugiej strony księżna Salome, zapatrzona w tony błękitów ciche i mistyczne, w zapomnieniu upuszcza swój dyadem księżęcy. A nad chórem Bóg. Taki możny, taki potężny. Na Jego: „stań się!” musiało się stać wszystko, co zechciał, co kazał. Rozdzielił zmęczone żywioły. W słonecznej pozłocie lśni nad głową Jego prawica, wzniesiona jak zorza jutrzeńki. Taki dobry, mądry Pan i Władca, potężny, a miłosierny.

Szanuję tych czarnych mnichów, co ongi na sznurze spuścili Łokietka przed oblężeniem wrogów, a dziś powierzyli witraż Wyspiańskiemu.

Stamtąd wolniutko idę do jednego znajomego studenta wszechnicy krakowskiej. Przemily chłopak: śmiało stanął w swych długich butach, a włosy spadają mu na ramiona. Rewolucja wre pod tą bujną czupryną. On to krzyknie kiedyś „sta sol”, a teraz skupiony, otoczony dostojną czcią biblioteki Jagiellońskiej, snuje pierwsze linie pomysłów i rozważa nauki mistrza z Brudzewa. Dostojny mąż zasiada u nas przed Staszycą pałacem, zgrzybiały 70-cioletni starzec wpatruje się w Zachęcie w pierwszą kartę „De revolutionibus orbium coelestis”, ale ten żak kochany, co spoglądał nie tylko w niebo, ale i w gwiaździste oczy mieszczek krakowskich, to taki drogi typ, pełen życia i odwagi, który później w rokcie kanonika katedralnego będzie pisał



WNĘTRZE KAPLICY ZYGMUNTOWSKIEJ NA WAWELU

dziela naukowe, blisko przez 400 lat trzymane przez kościół na indeksie.

Ciszę dziedzińca biblioteki zmacza śpiew, słyszysz „kto się w opiekę”; to z chorągwiemi i światłem rusza kompania do miejscowości odpuslowej pod Krakowem. O parę ulic znów śpiewy „sędziami będziem my”, a nad jednym i drugim śpiewem ze szczytu wieży maryackiej heynał rzewny, słodki. O mój grodzie Zygmuntowy! Mój dniu święteczny!

Zasiadł w majestacie król; dwór przy nim wspinały, lud się ciśnie, aby zobaczyć, jak klęczy margrabia, wieczną wierność i posłuszeństwo przysięgający; u stóp tronu Stańczyk—„siedziałem u królewskich stóp”,—podejrzliwie, nieufnie słucha słów przysięgi Hohenzollerna. Prorocki Stańczyk.

A na przeciwko wykwinna Modrzejewska na tle starej gobeliny, charakterystyczny Paweł Popiel, a ze ściany wali czwórka Chelmońskiego, umykaj bracie, bo cię roztratuje. Tam Pochodnie Nerona, tam karton witrażu Króla-Ducha, a zewsząd wieje duch narodu o wysokiej kulturze, narodu owia-



nego tchnieniem życia romańskiego, łacińskiej cywilizacji.

Odwiedzam zwykle i p. Seweryna Bonara u P. Maryi w kaplicy; nie dogadałbym się z nim, ale zawsze myślą gawędzę: ej, panie Sewerynie, daj Wam Pan Bóg zbawienie za ten wasz zamek w Ogrodzieńcu, tę perłę budownictwa.

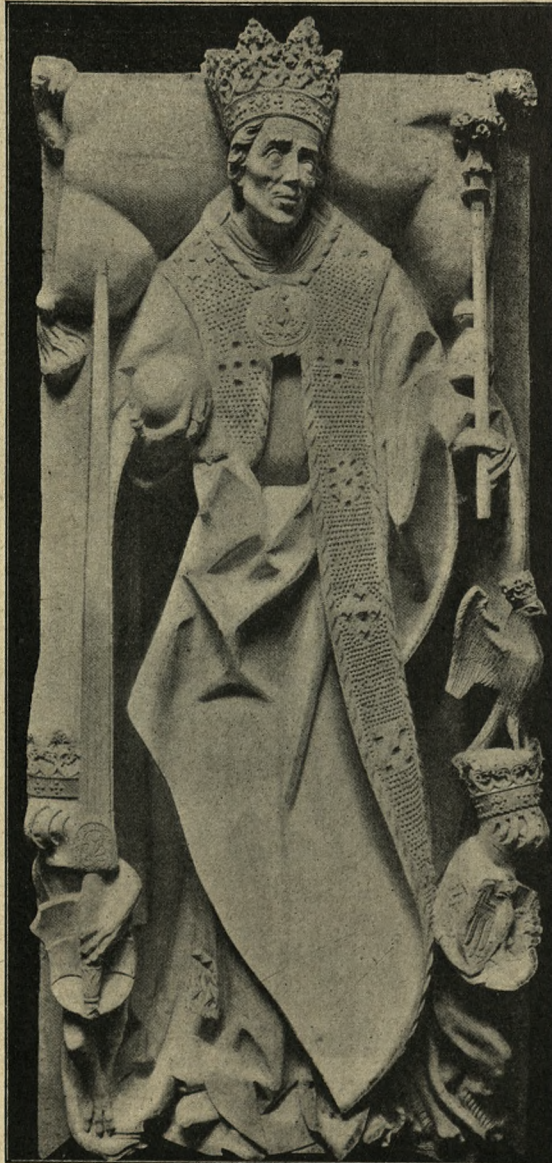
Składam hołd i u dobrej królowej Jadwigi i przed królewskim majestatem Kazimierza i jego ojca, co wygląda jak włodarz poczuiwy. Wstyd mi upadku kultury, jaki wieje z grobowców Korybuta i Sobieskiego. Oddycham czystym powietrzem Italii w Zygmuntońskiej kaplicy, gdzie na kopule położono dumny napis: Bartolomeo Berrecci Fiorentino. Boże, czyż to można wyliczyć to wszystko; co jedno to piękniejsze, co jedno to droższe, co jedno to bardziej ukochane. Dzień święta.

Wielbię owe dwie skrajne kaplice, z których jedna w bizantyjskie świętości pomalowana ku zadowoleniu królowej Sołki, a drugą zaścielają królewskie malowidła Tetmajera. W pierwszej, jakby na łonie swej matki Holszańskiej, leży król Kazimierz Jagiellończyk, dzielny wódz, dający Polsce ujście Wisły, wielki dyplomata, któremu z

blaganiem poddaje się Nowogród Wielki, a szach perski ofiaruje walny traktat przeciw turkom. Zaklęty przez wielkiego artystę w bryle czerwonego marmuru, po śmierci nawet nie stracił nic ze swego królewskiego majestatu, on, jedyński po Śmiałym bojownik przeciw władzy duchownej. Z bajecznym rozmachem Stwoszewym rzeźbiony pomnik królewski ma jakoby antytezę w gładkim, lecz chłodnym posągu Włodzimierza Potockiego w kaplicy lewej. Ten sarmata,

upozowany na rzymskiego rycerza w pomyśle Thorwaldsena, z godnością pseudoklasycyzmu reprezentuje swoją epokę.

Lubię spoglądać wsparty na balustradę Skalki, gdzie



KAZIMIERZ JAGIELLOŃCZYK (z płyty grobowca) z KAPLICY KRZYSZTOFII NA WAWELU

Rzeźba Włda Stwosza

Woda leczy! — Zapomnieć!

Zdrój to święty, rusalny, Święty wiekiem, wieczność e

W okóło ciemny gaj;

ubię patrzeć na okolicę i na cudne miejsce, gdzie

Posąg z kamienia Ze świętejwzeszedł wody. Stamtąd czerpiem ochłody I leków zapomnienia,

a gdy król chce „czernąć wody, pochylić twarz ku toni, posąg postępu broni”!

Cisza na Skalce, w świętego biskupa wzmówiono dążności antysemityczne, odrapana tablica na drzewie zastrzega, że izraelitom wzbronione czerpanie cudownej wody. Natomiast jakaś kolejarska rodzina czyni pobożne ablucje w sadzawce, przemywając starannie oczy zieloną wodą sobie, dzieciom, nawet trzymanemu na rękę malcowi, który ze zdrowego instynktu z wielkim wrzaskiem protestuje przeciw skuteczności na oczy zielonej wody, gdzie posąg postępu broni.

Na rynku i na plantach rozstawione stoliki. Siedzą damy strojne, panowie im asystują. Zbierają datki na pomnik Kościuszki. Na tackach leżą i banknoty i złoto, dużo srebrnych koron, i moc centów brązowych. Nie kładł ich pan z inteligencji, boby się wstydził, kładł je chłop i przekupka, baba z targu i zamiatacz ulicy, i ci którym na imię jest milion. Zupełnie jak u tych chamów czechów. Naród sobie. Stoją buńczuczki przed Ma-



POSĄG WŁODZIMIERZA POTOCKIEGO NA WAWELU

dziła Thoru usenu

ryackim kościołem, a na wieczór zapowiadają plakaty wieczór chłopski.

Już to do teatru w Krakowie ja osobiście nie mam szczęścia: trafiam na „Damę od Maksyma”. „Złoty wiek rycerstwa” i t. p. Nie wiedzie mi się więc. Ale na wieczór włościański pójdę z chęcią. Słyszałem niedawno wieczór muzyki ludowej, wykonany przez pierwszorzędne siły artystyczne w Warszawie, gdzie niewątpliwie każdy wychowawca ma w domu służącą z ludu i bramę w nocy otwiera mu chłop.

Tutaj był sam lud. 40 chłopów z Modlnicy śpiewało à capella pysznie zestrojone kwartety ludowe, a brzmiało to wybornie; głosy świeże i czyste. A wykonanie z pewną obrzędową powagą, nie licującą z tekstem „hu, ha! będzie pohulanka”.

Ten sam majestat

miały i deklamatorki: p. Agnieszka Wójcikówna i Zofia Ptakówna, śliczne obie, jak malowanie. Piękną, czystą wymową deklamowały Słowackiego i Lenartowicza, a po otrzymaniu braw nie robiły oka do galeryi, lecz w poważnem skupieniu schodziły z estrady.

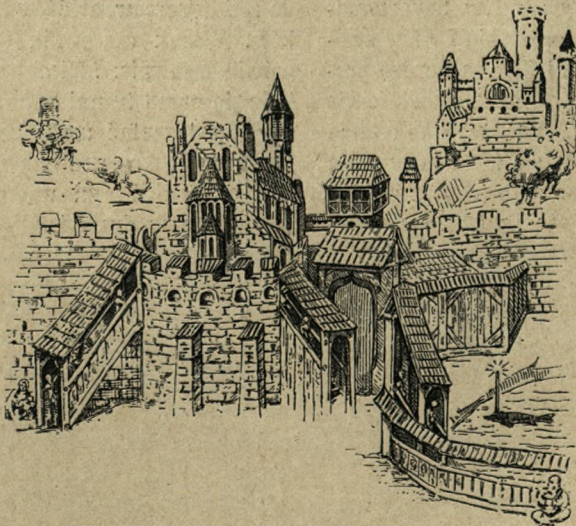
Grała i orkiestra z Modlnicy, a poseł chłopski, Bojko, zagajał wieczór przemową.

Jeszcze to wyglądało trochę świątecznie: afisz gwarantował, że „cały program będzie wykonany przez włościan”, i już w tem była egzotyczność wieczoru. Ale skoro zrobiony już początek, skoro można sformować tęgi chór, gdzie chłopcy z nut śpiewają na cztery głosy, co daje dużo zadowolenia, ale dużo też kosztuje pracy, to już jest znakiem nadziei na dalszy rozkwit życia towarzysko-korporacyjnego, a to jest zawsze dowodem wznoszącego się poziomu kulturalnego.

Raz jeszcze usłyszałem hejnał z wieży, gdy oszalomiony i upojony pędziłem przez planty do dworca. Było mi lekko na sercu i błogo. Podobały mi się bardzo dwa żydy z grajczarkami w skroni, że to im nikt tego nie obcina, ani za pejsy nie płacą kary. Potem była Trzebinia, był „tregier” i był „nasiiliszczyk”. Potem była paszportowa i celna, obie bardzo grzeczne i uprzejme, rewizye. Potem położyłem się w pociągu, a obudził mnie konduktor, ciągnąc z całej siły za nogę i wołając: „panie, to już Warszawa”.

Skończył się piękny dzień, w uszach brzmi i hejnał i „hu, ha, będzie pohulanka”. Błyszcza mi w oczach barwne gorsety Agnieszki i Zofii. Umysł mam pełen sztuki, duszę upojoną, a w niej hymn: „Dzięki Ci, Panie, za to miasto cudne, dzięki żem je widział już, a marzę, kiedy będę w nim znowu. A tobie sestro i bracie mówię, odmów sobie tego i owego w codziennem życiu, gromadź grosiwo i użyj wszelkich sprężyn i zabiegów, abyście mogli być u franciszkanów i na dziedzińcu biblioteki, przed hołdem pruskim i w kościele Maryackim, abyście trafili na ludowe życie;— i jedźcie do tego królewskiego źródła nauki, sztuki i bujnego rozwoju życia polskiego, aby wam zajaśniał dzień święta.”

A tobie sestro i bracie mówię, odmów sobie tego i owego w codziennem życiu, gromadź grosiwo i użyj wszelkich sprężyn i zabiegów, abyście mogli być u franciszkanów i na dziedzińcu biblioteki, przed hołdem pruskim i w kościele Maryackim, abyście trafili na ludowe życie;— i jedźcie do tego królewskiego źródła nauki, sztuki i bujnego rozwoju życia polskiego, aby wam zajaśniał dzień święta.”



WIDOK SKAŁKI PG. RZEźBY Z XVI W.

Z Rocznika Krakowskiego t. VI.

Al. Janowski.





Szczep Lo-lo w Chinach. ³⁾

Małżeństwa u Lo-lo są egzogamiczne w tem znaczeniu, że prawo zwyczajowe zabrania małżeństw między członkami jednego rodu. Sam ceremonial małżeństwa jest tu niezmiernie prosty, ogranicza się bowiem wyłącznie do zezwolenia rodziców na związek młodych. Uroczystości weselne odbywają się już po przybyciu narzeczonej do nowej, przybranej rodziny i są mniej lub więcej huczne, zależnie od zamożności. Ludzie bogatsi wzywają nawet czarownika, który, rozlewając dokoła siebie wódkę, zamawia duchy złe i dobre, odpędzając pierwsze od młodej pary i wzywając dla niej pomocy i opieki drugich. Wnet po weselu jednak młoda kobieta powraca do swych rodziców i pozostaje u nich aż do pierwszych objawów ciąży; wówczas dopiero mąż zabiera ją ostatecznie do swej chaty. Małżeństwa bezdzietne rozchodzą się i wstępują w nowe związki. Obrzędy pogrzebowe są u Lo-lów równie proste i skromne jak obrzędy weselne. W przeciwieństwie do chińczyków Lo-lowie nie hołdują czci zmarłych, czci przodków. Gdy tylko umierający odda ostatnie tchnienie, trup zostaje wyniesiony z chaty do t. zw. „gaju zmarłych” czyli lasu specjalnie obranego na ten cel. Tu ciało zostaje związane w pozycji człowieka siedzącego w kucki i spalone, i nawet popiół nie ulega zabraniu i przechowaniu. Również w następstwie żadne obrzędy pozostające w związku z kultem zmarłych nie przypominają rodzinie o istocie, która raz na zawsze z pośród niej znikła.

Już z samego ubóstwa obrzędów towarzyszących najważniejszym momentom życia Lo-lów wnosić można, że i pojęcia ich religijne są bardzo proste i pierwotne. Religia ich sprowadza się właściwie do wiary w duchy złe i dobre. O dobre, jako o takie właśnie, Lo-lo niemal zupełnie się nie troszczy; złe duchy natomiast, uważane za sprawców wszelkich nieszczęść i chorób, zamawiane są i zażegnywane przez czarownika. W wypadkach choroby, o ile samo tylko zamawianie nie sprowadza ulgi cierpiącemu, czarownik ucieka się do środka uważanego za bardziej radykalny, mianowicie przystępuje do złożenia ofiary złemu duchowi, który nawiedził ciało chorego. Ofiara taka składa się z kury, owcy kozy, bądź nawet wołu, a wybór jej zależy od kształtu i kierunku spękań, jakie powstają na kości łopatkowej owczej lub koźlej, trzymanej przez czarownika nad ogniem. Np. zjawienie się dwu spękań przecinających się na krzyż jest uważane za dobrą wróżbę: czarownik zostanie wysłuchany, chory wyzdrowieje. Przeciwnie, gdy poprzeczne spękania

przecinają ramiona krzyża, — wróżba uchodzi za mniej pomyślną: duch czyni zastrzeżenia, stawia wymagania; marna kura go nie zadowoli, potrzeba mu owcy lub wołu. I zwierzę zostaje natychmiast zarżnięte. Serce zjada sam chory, mięso spożywa rodzina i czarownik, i tylko krew wylana na ziemię staje się udziałem ducha. Zaiste, w zakresie ofiar Lo-lowie okazują się znacznie praktyczniejsi, niż ludy składające swym bogom ofiary całopalne!

Oprócz zastępu duchów dobroczynnych i szkodliwych Lo-lo uznaje również istnienie jednego bóstwa wyższego gatunku, istoty potężnej, twórcy wszechrzeczy. Jednak i ten bóg najwyższy, podobnie jak duchy dobre, nie jest przedmiotem jakiegokolwiek kultu specjalnego: Lo-lowie ani przybytków mu nie budują, ani nie oddają mu czci pod postacią bałwanów z drzewa lub kamienia. I niewątpliwie ciekawym zjawiskiem jest umysłowość Lo-lo w zakresie pojęć religijnych; z jednej strony właściwa mu jest wiara ludów kulturalnie najpierwotniejszych, wiara w bezpośrednie działanie duchów złych i dobrych, z drugiej zaś strony dostrzegamy w nim znamiona istnego sceptyka, który, wyrósłszy na długowiekowej kulturze, lekce sobie waży swych bogów, i ani ołtarzy im nie stawia, ani poniża się do kornych próśb modlitewnych, ani obwiesza się i obstawia fetyszami, amuletami, gri-gri! Co więcej nawet, — stosunek jego do duchów dobrych, których obawiać się nie potrzebuje, jest poniekąd zwierzczy, władczy; Lo-lo sprowadza je poprostu do roli dozorców, stróżów bezpieczeństwa, pomocników. Wszak czarownik w zakleciach rytualnych mówi dosłownie: „Niech raczej dobre duchy potykają się przed twemi stopami, niżby paznokieć twej nogi miał zostać uszkodzony! Niech dobre duchy poprzedzają was, usuwają z przed was przeszkody, — aby paznokieć ręki waszej nie uległ zranieniu!”

Wiara w duszę istnieje u Lo-lów: jest ona tu jednak daleka od materialistycznych pojęć, jakie spotykamy w tym zakresie u wielu ludów pierwotnych. Lo-lo uważa duszę za coś „niewidzialnego i niewyczuwalnego”, co za życia ożywia ciało, a z chwilą śmierci je opuszcza. Po wyjściu z ciała dusza człowieka prawego, dobrego, przechodzi w stan spoczynku, w stan pozbawiony wszelkich wrażeń, zarówno smutków i bólów, jak radości i uciech; natomiast dusze ludzi złych, którzy postępowali wbrew prawom szczepowym, odcierpieć muszą zasłużoną karę. Są to, jak widzimy pojęcia stojące już na wysokim poziomie rozwoju myślowego; ten sam sposób pojmowania duszy i ten sam motyw ekspiacji po-



śmierć spotykamy w wielu systematach religijnych bardzo złożonych, będących własnością ludów o wysokiej kulturze.

Równie niepokojące dla umysłu ludzkiego, jak kwestya egzystencji pośmiertnej i związana z nią kwestya istnienia duszy, jest zagadka powstania. Nasuwa się ona umysłem najbardziej pierwotnym, czego wyraźnym dowodem są mity o stworzeniu, spotykane u wszystkich plemion dzikich znanych nam dotychczas. Rzecz więc prosta, że i Lo-łowie posiadają mity takie; co ciekawsze jednak, mity te pod niektórymi względami zbliżają się do mitów biblijnych oraz do mitów asyryjsko-babilońskich, co wskazywałoby na wspólność, a przynajmniej na bliskość kolebki dziejowej plemion i kazałoby szukać pierwotnych siedzib Lo-łów być może daleko na zachód od dzisiejszych miejsc zamieszkania. Przytaczam tu niektóre z mitów o stworzeniu, zebrane wśród Lo-łów przez misjonarza, ks. Martin'a.

Bardzo dawno temu spadł z nieba na ziemię człowiek zupełnie nagi. Co się z nim stało,—legenda przemilcza. Lecz wkrótce potem spadli na ziemię mężczyzna i kobieta i dali początek rodzajowi ludzkiemu. Wówczas również powstał niedźwiedź i małpa, gdyż człowiek, małpa i niedźwiedź są natury pokrewnej. Istnieje również inny wariant tego samego mitu, według którego po kilkakrotnym spadaniu z nieba istot ludzkich bezpotomnych zostaje wreszcie zesłany prarodziec Omu, który pozostawia dziesięciu synów i dziesięć córek i zaludnia w ten sposób ziemię.

Dalszy ciąg mitów o stworzeniu stanowią mity o potopie. Ludzie rozmnożyli się wkrótce i zaludnili całą ziemię. Wówczas nawiedził ich potop, a woda wylewała się zewsząd: z rzek, z gór i z obłoków. Wszyscy ludzie zginęli za wyjątkiem rodzeństwa, brata i siostry, którzy zbudowali wielką skrzynię drewnianą i unosili się w niej na wodzie, dopóki powódź nie opadła a skrzynia nie zatrzymała się na górze Olu. Ocaleni brat i siostra pobrali się i zrodzili wiele potomstwa. Z pośród ich trzech najstarszych synów jeden był typu Sifan (rasa pokrewna tybetańskiej), drugi typu Lo-lo, trzeci zaś typu chińskiego. Obawiając się nowego potopu, postanowili zbudować chatę olbrzymiej wysokości, by mógł w razie potrzeby znaleźć w niej schronienie. A Pu Uoza (bóg) usiłował wprawdzie odwieść ich od tego zamiaru, lecz nie słuchali ani próśb jego ani gróźb. Lecz oto bóg pomieszał im mowę, tak iż nie rozumieli się nawzajem i ostatecznie musieli się rozejść. Sifan udał się na północ, lo-lo na wschód, chińczyk zaś na południe.

Czyż słysząc to opowiadanie nie doznajemy wrażenia, jakbyśmy czytali podanie biblijne o potopie? — Ten sam mit występuje u niektórych szcze-

pów w formie nieco odmiennej. Mianowicie ocalone rodzeństwo dać miało początek nie tylko ludziom, lecz i niektórym zwierzętom. Pierwsze ze zrodzonego potomstwa,—mówi legenda—miało stopy płaskie: było to niedźwiedź; drugie nie miało wyglądu prawdziwego człowieka: była to małpa; trzecie dopiero było rzeczywistą istotą ludzką. Stąd wniosek, że małpa, niedźwiedź i człowiek mają wspólną naturę. Zgadając się tak prosto i łatwo na wspólność pochodzenia człowieka i zwierząt, prymityw Lo-lo zaprawdę przewyższa w zakresie logicznego rozumowania bardzo wiele społeczeństw ludzkich, chlubiących się starodawną i wysoką kulturą umysłową, a jednak walczących zaciekle o zupełną odrębność genetyczną człowieka i o jego stanowisko od razu wyjątkowe i od razu naczelne wśród całokształtu świata zwierzęcego.

Na zakończenie tego pobieżnego rysu monograficznego Lo-łów pozostało nam jeszcze przyrzeć się ich ustrojowi społecznemu. Ustrój ten pod niektórymi względami przypomina nasze dawne stosunki feudalne. Społeczeństwo Lo-łów składa się z trzech grup odrębnych, stanowiących ściśle zamknięte w sobie kasty. Pierwszą, najwyższą stanowią tak zwani „czyści” czyli „czarne kości”,—„Hë-Y”; jest to arystokracja szczepowa. Drugą kastę stanowią „nieczyści” czyli „białe kości”, będący warstwą średnią ludności; trzecią wreszcie kastę, najniższą, tworzą „poddani”. Przejście z jednej kasty do drugiej jest tu zupełnie wyłączone: „nieczysty” pozostanie zawsze „nieczystym”, a „poddany” nie może nigdy stać się wolnym. Rzecz prosta, że wobec tak ściśle przestrzeganej kastowości związku małżeńskie między przedstawicielami kast różnych nie są dozwolone. Każdy szczepek podległy jest władzy pana feodalnego z kasty „czystych” i składa się z wasali i poddanych, obowiązanych mu lenno i pańszczyzną. Władza „pana” jest dziedziczna u wszystkich szczepów. Zdawałoby się mogło na pozór, iż ustrój podobny nakłada na lud żelazny łańcuch niewoli i przemocy możnych. Tak jednak nie jest bynajmniej, gdyż poza ściśle określonymi obowiązkami dostarczania w czasie wojennym żołnierzy i płacenia lenna i pańszczyzny zarówno wasale jak i poddani są zupełnie niezależni od swych władców. Prawa własności są tu również ściśle określone, i „pan” nie może sobie przywłaszczyć ziemi swego wasala ani drogą przemocy ani drogą dziedziczenia spadkowego. Podobnie, wobec panującej zasady, że prawo do plodów ziemi przysługuje nie jej właścicielowi, lecz temu, kto na niej pracuje,—poddani są tu raczej dzierżawcami i czynszownikami, niż chłopami pańszczyźnianymi naszego typu europejskiego. Oprócz „poddanych” w społeczeństwie Lo-łów istnieją również i niewolnicy, rekrutujący się z jeńców wojennych. Pracują oni na ziemiach panów, ja-



ko lud roboczy, z czasem jednak, szczególnie z chwilą ściślejszego zespolenia się ze szczerem drogą zawarcia małżeństwa, stanowisko ich staje się niemal równoznaczne ze stanowiskiem „poddanych” i korzystają z zupełnej prawie swobody. Wobec podobnego ustroju społecznego kasta „czystych” czyli władców nie posiada, jak widzimy, bynajmniej tych przywilejów, jakie przysługiwały feodalnym królom Europy; w krainie Lo-lów stanowisko ich jest raczej patryarchalne, a rola ich ogranicza się do roli przywódców ludu i stróżów tradycji szczepowej.

Rzecz prosta, że wobec powszechnego alfabetyzmu Lo-lów, nie może być mowy o istnieniu tu jakichkolwiek praw pisanych. Szczepy rządzą się tradycją, prawem obyczajowym. W związku z prostotą życia i obyczajów Lo-lów i charakterem ich szlachetnym i prawym wiele przestępstw, tak pospolitych u ludów cywilizowanych, jest tu zupełnie nieznanymi, inne zaś są zjawiskiem nader rzadkiem. Dotyczy to np. kradzieży. W wypadkach tego przestępstwa sprawa kończy się polubownie, przyczem jednak warunkiem koniecznym jest restytucja przedmiotu zabranego. W razie recydywy winowajca jest więziony z rozkazu władcy, jeśli zaś i wówczas nie nastąpi poprawa, złodziej jako jednostka szkodliwa dla ogółu ponosi śmierć przez utopienie. A jednak moralność Lo-la, surowo potępiająca kradzież zwykłą, patrzy równocześnie okiem pobłażliwym na rabunek zbrojny, dokonany na rodzinie lub nawet na całym rodzie, wówczas gdy postępek ten jest powetowaniem straty lub krzywdy zadanej poprzednio. Ze zwykłej kradzieży rabunek staje się wówczas w pojęciu Lo-lów słuszną zapłatą i dozwolonym odwetem. Zabójstwo w uniesieniu lub przez zemstę osobistą jest tu również występkiem niezmiernie rzadkim. W razie dokonania zbrodni winowajca musi sam sobie śmierć zadać, w przeciwnym bowiem razie zostaje bądź zakopany żywcem w lesie, bądź przywiązany do drzewa i pozostawiony na pastwę dzikich zwierząt lub śmierci głodowej. Niektóre szczepy skazują zbrodniarza na spalenie, przyczem cała wieś znosi drzewo na stos dla skazańca. Zabójstwo dokonane wśród szcze-

pu obcego pociąga za sobą natychmiastową wojnę, gdyż nie tylko rodzina zmarłego, lecz cały jego ród, cały szczep nawet poczytuje zemstę za swój obowiązek; wówczas wybucha vendetta w jak najobszerniejszym znaczeniu, krwawa zemsta zbiorowa, pociągająca zazwyczaj liczne ofiary.

Organizacja polityczna Lo-lów jest niezmiernie słaba. O ile wewnątrz poszczególnych szczepów panuje wielkie poczucie jedności, o tyle pokojowe stosunki międzyszczepowe niemal nie zachodzą zupełnie. Nawet w celach wspólnych działań wojennych rzadko kiedy dwa lub trzy szczepy sąsiednie dochodzą do porozumienia, a jeśli nawet ugoda tego rodzaju zostanie zawarta, to trwa ona krótko i ulega zerwaniu z chwilą ukończenia zamierzonej ekspedycji. Nawet szczep Lo-Hong, najpotężniejszy i najliczniejszy, gdyż mogący wystawić przeszło 10,000 wojowników, nie umiał dotychczas zdobyć sobie hegemonii nad grupami drobniejszymi. Obecnie więc szczepy stanowią jeszcze jednostki ściśle zamknięte w sobie i nawzajem zupełnie niezależne. Niewątpliwie na taki stan rzeczy wpływają niemało i stosunki fizyograficzne, ułatwiające izolację grup poszczególnych wśród gór i wąwozów trudno dostępnych.

Jaka jest przynależność rasowa Lo-lów? jakie pochodzenie? skąd i wskutek jakich okoliczności przedostali się do surowej i dzikiej krainy, którą zamieszkują obecnie? — Czy przybyli tu w charakterze zwycięzców, wypierając lub wchłaniając w siebie ludność pierwotną słabszą fizycznie i kulturalnie; — czyli też, być może, zjawili się tu jako zbiegi, szukające bezpiecznego schronienia, jako garść rozbitków, odrzuconych daleko w bok przez jedną z potężnych fal etnicznych, przewalających się w ciągu wieków ubiegłych przez Azyę środkową i zachodnią?

Dziś jeszcze nauka nie jest w możności odpowiedzieć na te pytania. A zadanie jest tem bardziej trudne do spełnienia, zważywszy charakter mieszany, jaki zdradzają Lo-lowie zarówno pod względem typu fizycznego, jak w zakresie etnicznym i socjalnym.

K. Stolyhwo.





Ze skarbów naszej przyrody.

13)



8. *Platanthera montana* Reichb.
Podkolan zielonawy.

Bulwy wydłużone, zwężające się, łodyga dość długa, mocna, kańczasta, we środku pusta. Dwa lub trzy liście dolne pochwiaste, nad nim jeden lub dwa duże, owalne, obejmujące łodygę, i kilka górnych małych, podobnych do przykwiatków. Kwiaty dość duże — zebrane w kłos. Przykwiatki długości zależni, owalno-lancetowate. Listki okwiatu — wewnętrzne mniejsze, zastrzone, skupione, — zewnętrzne, odstające, bardziej owalne. Warzka niepodzielona, zakończona tępo. Ostroga maczugowata, niekiedy b. długa. Kwiaty barwy białozielonej.

Kwitnie w maju i czerwcu.

Rostafiński w „Prodromusie” mówi o nim: „pewnie b. rozpowszechniony”; sam podaje jednak tylko jedno stanowisko w Wierzbówce pod Płońskiem. Karo znalazł go w okolicach Lublina; Kwieciński w powiecie włodawskim; Twardowska w Szmetowszczyźnie.

(DCN)

K. Szejnbok.



Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Zamierzone przez Zarząd Towarzystwa Krajoznawczego badania jeziorne zostają już rozpoczęte. Wybór padł na jeziora kujawskie, a z pośród nich przede wszystkim na jezioro Chodeckie¹⁾. Dr. Ludomir Sawicki, doцент uniwersytetu Jagiellońskiego, wspólnie z p. Czesławem Łopuskim, geologiem przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, rozpoczęli już badania przedwstępne. Dotychczas określono morfologię oraz genezę miednicy jeziornej i całego okolicznego krajobrazu, dokonano pomiarów głębokości, pomiarów termicznych, wykonano kilka przekrojów głębinowych, zbadano przezroczystość i barwę wody, wreszcie zebrano pewną ilość planktonu oraz dokonano wielu zdjęć fotograficznych. Wobec tego, że zbadanie jeziora wymaga całego szeregu systematycznych obserwacji w ciągu dłuższego czasu, badacze zwrócili się o pomoc do inteligencji miejscowej, która od początku wzięła żywy udział w sprawie. Miejscowy wikary ks. Potapski podjął się systematycznego mierzenia ciepłoty na różnych głębokościach, właściciel Kromszewic p. S. Otto dokonywać będzie obserwacji nad zmianą poziomu wód, lekarz weterynaryi p. B. Czempiński podjął się zbierania planktonu i odpowiedniego konserwowania go, aptekarz miejscowy p. E. Ostaszewski dokonywać będzie obserwacji meteorologicznych, wreszcie Oddział Kujawski Tow. Krajozn. w osobie inżyniera p. A. Olszakowskiego wzięł na siebie sporządzenie ścisłej mapy topograficznej. Niezależnie od tego Zarząd Tow. Krajozn. w celu wszechstronnego zbadania jeziora zamierza zwrócić się do szeregu specjalistów poszczególnych gałęzi wiedzy przyrodniczej o dalsze badania.

— Komisja wycieczkowa zapowiada 2 wycieczki trzydniowe na 6—7 i 8 Maja a mianowicie:

1) Do Zagłębia Dąbrowskiego; ceny: dla młodzieży 7 rb. 50 kop., dla członków 8 rb. 50 kop., dla gości 10 rb.

2) Wycieczka geologiczna w okolicy Kielc; ceny: dla młodzieży 9 rb., dla członków 9 rb. 50 kop., dla gości 10 rb.

□□□□□□□□

Nowe książki.

Rud. Mękicki. Medale grunwaldzkie. Lwów 1911 z 25 ilustr. Nakładem Maksym. Goldsteina.

Przeszłoroczne obchody rocznicy grunwaldzkiej nie przebrzmiały jeszcze echem swym na całym obszarze Polski. Projektowane są wydawnictwa, które objęłyby wszystkie opisy uroczystości grunwaldzkich, świątecznych tak wspaniale, zwłaszcza w Galicyi. W opracowa-

¹⁾ Patrz „Ziemia” r. 1910 № 52, L. Ostaszewski „Jezioro Chodeckie“.



niu znajdować się ma już bibliografia wszelkich wydań, publikacji i druków, wypuszczonych z powodu wielkiego jubileuszu. Niedawno zaś opuściła prasę drukarską monografia p. R. Męckiego, znanego zaszczytnie we Lwowie pracownika na polu numizmatyki i medalierstwa polskiego. Z godną uznania skrupulatnością zabrał on wszystkie pamiątki metalowe, związane z jubileuszem, włączając w to nie tylko medale, żetony i plakietki, ale również (w dodatku) pióra pamiątkowe, wisioriki, breloki i t. p., sporządzone w roku grunwaldzkim na uwiecznienie doniosłej chwili dziejowej.

Książka ta prezentuje się nadzwyczaj sympatycznie tak pod względem wyglądu zewnętrznego, jak i co do swej zawartości. Znajdujemy w niej omówione wszystkie (w liczbie 44) wydane medale, reprodukowane przytem w pięknych podobiznach, wyciśniętych na ładnym papierze i zdobiących wspaniale to rzeczywiście po amatorsku wydane dziełko. Piękna jest również okładka, wykonana sposobem piórkowym przez samego autora, nietylko zdolnego numizmatyka, ale i wybitnego rysownika,

Zasługa wydania pięknej pod każdym względem i miłej książeczki, przypada w udziale drugiemu numizmatykowi lwowskiemu, p. Maksymilianowi Goldsteinowi. Nie żałując grosza na cel tak sympatyczny, zajął się on pilnie pracą p. Męckiego i ze swej strony umożliwił mu wydanie opracowanej monografii. Wspólnym też ich staraniem zawdzięcza literatura numizmatyczna polska piękną pracę z dziedziny, kultywowanej żywo, zwłaszcza w czasach ostatnich.

B. J.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ W tych dniach p. Stefan Gościcki nabył od p. Hankego, Niemca, majątek Grochowalsk, w pow. lipnowskim, obszaru 27 włók.

+ Korespondent „Gazety Warszawskiej” z Białej Podlaskiej donosi co następuje:

„W ciągu ostatniego roku znacznie wzrósł w naszych stronach popyt na ziemię. Dokonano tu całego szeregu transakcyi:

Nowy Dwór w pow. bialskim nabył p. L. Wybranowski z Lubelskiego. Trojanów nabył p. W. Reklewski z Radomskiego; Małaszewice Małe nabył p. H. Zmirodzki z Podolańskiego Dworu; Olszyn w pow. kon-

stantynowskim kupił p. J. Łaskiewicz z Kobylan, które w drodze działów przeszły na p. W. Łaskiewicza; Lebedziów rozkupili miejscowi włościanie katolicy Małaszawice Wielkie rozkupili miejscowi włościanie, Dobrynkę kupili pp. Włostowski i Ruciński, ale w ciągu tegoż roku odprzedali ją Bankowi Włościańskiemu, skuszeni widocznie dużym zarobkiem, Krzywą Wólkę nabył p. Pięnkowski z Lubelskiego, Placówkę nabył ks. W. Solnicki. Ceny na ziemię wzrosły do wysokości u nas nieznaney: za Koroszczyn, jeden z najkulturalniejszych u nas majątków, zaofiarowano cenę 10 tysięcy za włókę, właściciel jednak nie sprzedaje.”

+ Z Sosnowca donoszą, iż z nastaniem pierwszych dni cieplejszych znów rozpoczął się ruch śród miejscowych robotników, wybierających się po złote runo na Syberyę. W kancelaryi komisarza włościańskiego zapisuje się po kilkadziesiąt rodzin na wyjazd. Owczego pędu emigracyjnego, jaki od dwóch lat wyrodził się w Zagłębiu, nic, jak widać, powstrzymać nie zdoła, ani rozpaczliwe listy tych, którzy tam już wyjechali i cierpią straszną nędzę, ani nieprzyjazne warunki ekonomiczne na Syberyi, ani klimat nieznośny dla mieszkańców strefy umiarkowanej, ani nawet widmo dżumy. Miejscowa „Iskra” radzi, ażeby starać się skierować ten ruch do zasobniejszej w warunki o wiele przyjaźniejszej Parany.



+ Roboty koło restauracyi Wawelu odbywają się w dalszym ciągu. W tych dniach podjęto wymianę spróchniałych wiązań dachu od strony północnej na konstrukcyę żelazną. Przy zdejmowaniu dachówki robotnicy pracują bardzo ostrożnie, gdyż dachówka, zupełnie dobra, będzie użyta na pokrycie nowej, żelaznej konstrukcyi dachowej. Jak wiadomo, konstrukcyę żelazną dachów zaprowadzone już zeszłego roku na zachodnim skrzydle gmachu. W dziedzińcu Wawelu prowadzone są dalej roboty około restauracyi krużganków i przywrócenia ich do pierwotnego stanu. Krużganki odrestaurowano już od strony południowej, zachodniej i w połowie od strony północnej; obecnie roboty objęły drugą połowę strony północnej i dwie trzecie wschodniej. Krużganki opasane są gęstą siecią rusztowań, a kamieniarze obrabiają potrzebny materiał w obu dziedzińcach zamkowych.

W kołach interesowanych wyrażają nadzieję, że wojsko ostatecznie w maju roku bieżącego ustąpi z Wawelu.

TREŚĆ: W. B. — Rozmieszczenie zwierząt; dr. B. Dybowski — Dwie Świtezie (z 4 ryc.); R. O. — Dwaj kupcy w Łowiczu. Al. Janowski — O wycieczce do Krakowa słów kilkoro (z 5 ryc.); K. Stolyhwo — Szczep Lo-lo w Chinach; K. Szejnbok — Ze skarbów naszej przyrody (z 1 ryc.); — Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Z naszych krajobrazów: 26. Wieś Mołodawa nad Dniestrem w Bessarabii.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łąkał St. Miścicki. — Odbijał na maszynie W. Kaczorowski. — Klisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Piliicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec